

Dzieci w klatkach

Reportaż z francuskiego Studzieńca

We Francji wybuchł nowy skandal. Opinia publiczna została zaniepokojona gorszącymi zdarzeniami w domu poprawczym w Belle - Ile, które rzucały ponure światło na cały system wychowawczy w zakładach dla dzieci przestępczych i trudnych do prowadzenia.

Wielkie dzienniki francuskie wysłały swych najzdolniejszych reporterów z poleceniem zbadać na wszelką cenę, jakie to stosunki naprawdę panują w instytucjach, zajmujących się leczeniem i wychowywaniem dzieci anormalnych. W wyniku tych poszukiwań w znanym, poważnym dzienniku, w „L'Intransigeant” ukazał się cykl reportaży Emanuela Bourcier. Ten ich był optymistyczny; m. inn. Bourcier wskazywał na jedną szkołę, z której dzieci napewno wychodzą do gruntu zmienione naprawdę poprawione, można powiedzieć: — odrodzone.

Pamiętnik nauczyciela z zakładu poprawczego

I oto ostatni numer tygodnika „Vu” ogłosił pamiętnik młodego nauczyciela tej właśnie szkoły im. Teofila Roussela, wychowawcy przed tygodniem w „L'Intransigeant”. Tytuł pamiętnika brzmi „Dzieci w klatkach”. Te słowa mówią same za siebie. Dopomaga im zresztą fotografia umieszczona na czolowej stronicy „Vu”: twarz dziecka przyciśnięta do kraty, beznadziejność w oczach, gorzkie skrzywienie ust, ręce trzymają się kurczowo żelaznych prętów.

Jest to widok okienka w klatce w szkole Théophile - Roussel.

Jedną z podstawowych metod szkoły jest zamykanie dzieci na noc do klatek.

Nauczyciel z zakładu Théophile - Roussel, ogłaszający w „Vu” swoje uwagi i obserwacje, jest młodym pedagogiem, specjalizującym się w zagadnieniach psychologicznych. Pracował jako stypendysta rządowy w Stanach Zjednoczonych, a po powrocie otrzymał nominację na wychowawcę w Montesson. Przybył do szkoły z zapasem energii, pełen zapału, wydoskonalał w najnowszym i najsurowszym metodach — po czterech miesiącach pracy w najlepszym francuskim zakładzie poprawczym, podał się do dymisji.

Wzorowa szkoła

Wieżniennictwo — rozpoczyna swój pamiętnik — jest we Fran-

cji prowadzone niezwykle skromnie. W Stanach Zjednoczonych mogłem z zupełną swobodą zwiedzać wspaniałe zakłady, gdzie wyspecjalizowani nauczyciele doszkalcą młodocianych przestępców i anormalnych. Tu, u nas, mury są wysokie, a wszystkie bramy zamknięte. Najrzeczniejszy dziennikarz złamie swoje pióro i strzaska fotograficzny aparat. Ażby przeniknąć do tych miejsc, gdzie mają „odbudowywać” dusze, trzeba być albo dozorcą, albo więźniem. Dostałem się tam, jako dozorca.

Opinia szkoły departamentalnej Théophile - Roussel: początku nie podobała się: była zbyt dobra. Interesujące byłoby poznać tajemnice Belle - Ile albo Mettray. Szkoła zaś Théophile - Roussel, od 1925 r. nie była już, jak to mówią, galerami, ale „szkoła radosna”, gdzie zbłąkane dzieci odnajdują radość życia. Z ankiety przeprowadzanej przed kilku laty, zapamiętałem kilka zdań:

„Szkoła Théophile - Roussel realizuje to, co się wydaje najbardziej wskazane w domu poprawczym... Jouvnet uczynił z tej szkoły, będącej dawniej więzieniem o suchym chlebie, koszarami celkowymi, wesoły ul, gdzie rozbrzmiewa prawdziwy śmiech. P o p r a w i a ć trzeba rozumieć w Montesson w pedagogicznym znaczeniu tego słowa”.

Taki mając sąd o szkole, młody René Zazzo obejmuje służbę.

Dzieci — automaty

„Przyszedłem w czasie rekreacji. Mali więźniowie byli wyciągnięci w nienaganną linię. Na znak nauczyciela 40 rąk podniosło się tym samym ruchem do wysokości ciała. Pierwsze spotkanie z moimi uczniami. Dwunastoletni młodzieniec o ostrych ruchach, komenderował dwunastoletnimi dziećmi.

— Niewarto krzyżeć — poradził mi — wystarczy lekki gest, ażeby kazać wykonać im jakiś ruch.

Klasnałem w ręce — dzieci zrobiły ćwierć obrotu i wykonały komendę: rozejść się!

Drugi gest: dzieci zbliżyły się do przegródki. Był to jakby cud automatyzmu: chłopcy wzięli obojętne, i stanęli w rzędach.

— Kto tam gadał! Przyszedł się zaraz! — Istotnie, ciszę naruszył lekki szep.

— Jeżeli się natychmiast nie dowiem, sześciu będzie ukaranych!

Ręce wyciągnęły się i wskazywały na dziesięcioletniego malca. „To ten!”

— Dobrze, chodź tutaj, no, przedzie! Ręce na plecy!

Pięścią pod brodę

Mój kolega — opowiada Zazzo — uderzeniem pięścią pod brodę podniósł głowę dziecka.

— Ja cię nauczę zachowywać się po ludzku!

Blagalne spojrzenie, ręka ciężko spadająca na nadstawiony policzek. Dzieciaki runęli na ziemię, ażeby natychmiast się podnieść i karnie wrócić do szeregu.

W ciągu całego dnia mój kolega w moich oczach pełnił służbę, którą miałem później spełniać ja sam w ciągu długich miesięcy.

Klatki

Po posiłku południowym, poszliśmy do sypialni. Oczekiwałem tradycyjnego widoku długiego rzędu białych łóżek, zamiast tego zobaczyłem rząd klatek.

Kolega odgadł moje zdziwienie. — Tak, oni śpią w klatkach, to bardzo ułatwia dozór.

Przedemną stały cztery wielkie klatki, jak dla cyrkowych zwierząt na arenie, a każda z nich była podzielona na dziesięć osobnych przegród. W każdej przegródce leżał materac z trawy morskiej.

Na gest wychowawcy mieszkańcy klatek stanęli na baczność przy swych „pokojach”.

— Ręce na drzwi! Wejść! Ciągłe z tą samą automatycz-

„Latające ambulatorium” Operacje w samolocie

Lotnictwo sanitarne ZSRR odgrywa już poważną rolę w przewożeniu chorych, kiedy godziny i minuty decydują o życiu człowieka. Niekiedy bywa konieczna natychmiastowa operacja. Takich operacji nie było można dokonywać w sanitarnych samolotach dotychczasowej konstrukcji, ponieważ samoloty te były zbyt małe. Dlatego zrodziła się myśl wybudowania „powietrznych ambulatoriów”, które zaopatrzone w maszynę, skonstruowaną przez inż. Szawrowa. „Latające ambulatorium” posiadać będzie kabinę dla 12 osób, w której będzie można ulokować 7 — 8 chorych, lekarza i wszystko potrzebne do operacji chirurgicznej. W samolocie będzie można dokonywać bezwzględnych operacji i podczas lotu. Niebawem pierwszy lot „latającego ambulatorium” odbędzie się na linii Moskwa — Kijów.

na dokładnością żelazne drzwiczki zostały otwarte

— Zamknąć!

Zgrzyt zamków. Polecenie zostało wykonane.

Trzy zamki były w porządku, czwartym nie obracał się. Powiedziałem o tem mojemu koledze.

— ...To dowodzi, że uczeń nie zatrzasnął porządnie drzwi. Już my się tem zajmujemy... Od jednego rzutu oka zorientował się w numerze winowajcy.

— Citrouille, do mnie!

Dziecko trwożliwie uchyliło drzwi. Nauczyciel spojrzał groźnie i zbliżył się.

Zanim dzieciak zdążył podać jakiegokolwiek wytłumaczenie, uderzenie wychowawcy zważyło go na ziemię. Malec zanosząc się łkaniem uciekł skulony w kąt klatki.

— No, Citrouille, ja nie lubię muzyki!

Złapał chłopca za włosy, a gdy dziecko uchyliło się od uderzenia, nastąpił mu na nogę stopą i przycisnął obcasem wielki palec u nogi. Citrouille podniósł ku nam twarz zalaną łzami.

Dziecko, drżąc z płaczu, wstrząsało łkaniem, umilkło.

— Nie chcę, żebyś płakał!

Łzy mimo to leciały, jak groch, po czerwonych policzkach.

— Uważaj, idjoto, moczysz podłogę.

Znowu w korytarzu rozległo się echo policzka. Citrouille poczerwieniał jeszcze bardziej, zamknął oczy, przycisnął powieki, żeby zatrzymać łzy.

— Ach, jaki ty teraz jesteś piękny; teraz uśmiechnij się do nas!

Dziecko opuściło głowę.

— Uśmiechnij się, ależ uśmiechnij się, pokaż panu jak to się żartuje w naszej szkole!

Citrouille nieufnie podniósł głowę; potem — grymasem pełnym żalu i strachu odsonił małe białe zęby.

W dalszym ciągu swego pamiętnika René Zazzo opisuje cały dzień pracy i nauki, dzień z „Théophile - Roussel”, podaje przyczyny, które zaprowadziły ich do zakładu poprawczego, cytując wstrząsające listy dzieci t. zw. trudnych do prowadzenia, błagających rodziców, ażeby zabrali je z „uśmiechniętej szkoły”.

Kogo obchodzą dalsze losy Citrouille'a, niechaj dowie się, że w nagrodę za piękny uśmiech Citrouille otrzymał łagodną karę: mycie przez całą noc ubikacji zakładowej i nocnych naczyni.

Człowiek o żelaznym zdrowiu Przeżył 16 wypadków

Są ludzie, którzy mają żelazne wprost zdrowie, których zabić nie można, którzy przejdą wiele katastrof i żyją ciągle dalej, jak gdyby nie z kości i ciała się składali, ale z żelaza i gumy, czy coś w tym rodzaju. O takim niezwykle człowieku donosi prasa włoska. Jest to Gennaro Arrau. Wprawdzie nazwisko nie mówi, ale właściciel jego ma bardzo wiele do powiedzenia.

Otóż ten Gennaro Arrau, zamieszkały w Torre del Greco pod Neapolem, posiada niezwykle rekord. Miał on w życiu 16 nieszczęśliwych wypadków. Obecnie

przychodzi do zdrowia po złamaniu biodra w upadku z drabiny koło swego domu. W swoim długim życiu, liczy bowiem lat 83, był trzy razy rażony piorunem; raz był zasypany w kopalni węgla; raz spadł z wysokiego rusztowania. Raz również był wystrzelony nawet z armaty i uległ przytem straceniu oka i ręki; był też zagrzebany trzema tonnami gliny i raz spadł z 30-stopowego urwiska. Pewnego razu koń zrucił go ze siebie i ciągnął przez znaczną odległość. Zeszłego roku zaś uległ złamaniu kilku kości, gdyż przejechał po nim samochód ciężarowy.

Czy dziedziczy się Inteligencję i doświadczenia Ciekawe eksperymenty na 2 pokoleniach szczurów

Przyrodnik i zoolog niemiecki, profesor Tolmann, postawił sobie za zadanie rozstrzygnięcie kwestji, czy też człowiek będzie się doskonalił umysłowo i duchowo, wznosił na coraz wyższy szczebel, czy też poziom kulturalny ludzkości będzie spadał coraz bardziej. Jednym zaś z pytań ubocznych, którego rozwiązanie interesowało uczonego pozatem, była kwestja, czy głupota jest dziedziczna, czy upośledzenie umysłowe jednej generacji przekazuje się drugiej.

Aby dać sobie samemu odpowiedź na postawione pytanie, Tolmann przeprowadził szereg doświadczeń nad szczurami. Wybrał więc szczury głupie i mądre. Po czym poznawał je? Czem mierzył inteligencję szczura? Uciekł się do wypróbowania najsilniejszego instynktu u zwierząt — głodu. Zbudował w tym celu pomysłowy labirynt, na wzór podobnych w Luna-parkach, wyposażając go przytem w rozmaite zasadzki i przeszkody. U wyjścia labiryntu postawił miseczkę ze słoniną, szczura zaś ulokował przy wejściu do labiryntu. Woń smakowitej słoninki nieci głodnego szczura, ponowniem wyczuwa obecność przysmaku i zapuszcza się śmiało w labirynt. Tu jednak sprawa niełatwa: w połowie drogi wpada w ślepa, bez wyjścia,

uliczkę. Zwraca i pędzi inną drogą, tu znów uderza go wydławanie prądu elektrycznego; znowu kręci, kręci, dostaje się w koło zamknięte, szuka zeti wyjścia i jeśli dopisuje mu spryt, pamięć, przezorność — wydostaje się wreszcie na wolną drogę i szczęśliwie dobiega do wyjścia, do upragnionego celu — do miski ze słoniną.

Gdy tak szczury odbywały jeden po drugim swoją wyprawę egzaminacyjną, profesor stał ze stoperem w ręku i notował skrupulatnie czas i przebieg perypetj z szczurami. Stawał stopnie, okroślał inteligencję szczurów, dzielił je na mądre i głupie. Rodziny głupich i mądrych szczurów umieszczane były osobno, w różnych klatkach i — rzecz prosta — mnożyły się. Na młode pokoleniu szczurczym profesor przeprowadzał te same doświadczenia z labiryntem. I okazało się, że istotnie młoda generacja szczurów mądrych dziedziczyła inteligencję po rodzicach, a upośledzone młode szczurki — głupotę po swoich rodzicach.

Stąd do wniosku o dziedziczeniu głupoty u ludzi było blisko, aż za blisko. Ale historia i doświadczenie wykazały dobitnie, że u ludzi jest inaczej i że głupota i inteligencja nie są dziedziczne.

„Wspaniałe książe tajemnicy królewskiej”

Dnia 17 września r. b. odbył się konwent masonów w rezydencji Wielkiego Wschodu przy ul. Cadet w Paryżu. Miały tam być omówione rozmaite sprawy z „trochę o prawdę i sprawiedliwość”, którymi to cnotami, jak wiadomo, masoneria tak się odznacza.

Wielu „braci” od godz. 9-ej rano cisnęło się do drzwi rezydencji, licząc, iż będą mogli przy pracy być obecni w zwykłym charakterze „braci goszczących”. Ale w tym roku spotkał wielu z nich zawód. Wielki Wschód, nie będąc zupełnie pewny swoich ludzi, zorganizował swego rodzaju filtr i przepuścił tylko masonów specjalnie poleconych przez loże regionalne. Niedosć tego, została zastosowana dodatkowa ostrożność: sprawozdania z posiedzeń konwentu nie będzie się drukować, jak zwykle dotychczas w postaci broszury, oraz zwykły bankiet na zakończenie prac nie odbył się. „Czeigodni” obawiają się niedyskrecji, a ich nowe metody dowodzą, że w łonie masonerii nie wszystko jest w porządku. Niektórzy z „braci” zapytywali, czy aby na konwencie obejdzie się bez incydentów, bowiem ważne kwestje były przedmiotem obrad, jak „sprawa Stawiskiego”, „badanie doktryn faszystowskich i sposoby ich zwalczania”, „czwartą republiką”, „jak zapewnić obronę masonerii”, „nadszchodząca wielka rewolucja”, „ruch chrześcijańskiej młodzieży studenckiej”, „prasa wysługująca się i prasa wolna” i t. d. i t. d. Jednak niema tajemnicy, której można ustrzedz wobec niedyskrecyjnych uszu i takichże ust. Dlatego wątpliwe się wydaje, czy „wspaniałe Księże Tajemnicy Królewskiej” będzie bezwzględnie pewny dyskrecji.

(D. c. n.).

J. Jukowski

MAŁY GARNIZON

POWIEŚĆ

Weszał porucznika i powierzyłszy mu ludzi pod pozorem, że ma ważną sprawę do załatwienia w dowództwie, udał się w kierunku koszar. Po drodze wstąpił do spółdzielni, wypił szklankę sodowej wody i rozmyślał, co dalej począć. Gdyby nie to, że miał po ćwiczeniach zameldować się u majora, poszedłby do domu położyć się spać.

— Pójdę do Tośka — postanowił nagle.

Był to emerytowany kapitan, Antoni Lewik. Z wiadomych przyczyn po spensjonowaniu się, ku ogólnemu zdziwieniu, pozostał w Błotowie. Wynajął mieszkanie w domu pewnego sierżanta i żył z kobietą, którą jeszcze w czasie czynnej służby uwiódł, jako młodą studentkę, i zabrał do siebie. Pełnił funkcje komendanta „Strzelca”, rozjeżdżając po wsiach i organizując nowe oddziały. Przy tej sposobności upijał się zwykle. Był to jednak w istocie swęj z gruntu poczciwy chłop i bardzo dobry kolega. a przytem inteligentny dość i rzutki człowiek. Z wojska poszedł przez pijaństwo. Ofiara małego garnizonu.

Daleki zastał go jeszcze w łóżku. Komendant wyglądał żałośnie. Obrzękła, zaplajaczona twarz, czerwone białka oczu, rozczochrane włosy i wyziewy alkoholowe w pokoju świadczyły, że Lewik wrócił z objazdu. Od zadachu panującego w pokoju poczęło Dalekiego mldić po-

3) nownie.

— Po kiego djabła tu przylazi? — zaklął. Lewik natomiast ucieszył się nim bardzo. Nie dęczył go kociokwik. Przeciwnie, po całonocnych pijatykach był właśnie wymowny, wprost gadatliwy. Błagował przytem, ile wlaźło.

— Stefcu, kochasiu — ścisnął rękę Dalekiego — dobrze, żeś przyszedł, masz pojęcie, jaka stypa była w Żukowie?

— Rhmm — rżał z zachwyty, rozwodząc się nad przygodą z jakąś dziewczyną Żukowska.

— Mówię ci rzepa! — ślinił się, malując soczyste obrazy tego przeżycia.

Daleki wiedział, że Lewik zmyśla w swej chorobliwej erotomanji i stąd też nużyły go opowieści kolegi. Myślał o tem, poco tu właściwie przyszedł.

— Ik... — czkawka przerwała Lewikowi — Psia-krew! Słuchaj, Stefcu! Tam, w kredensie stoi butelczyna... — ik... — prędzej nalej, bo mi czkawka kiszi wyrwie.

Daleki nalał wódkę do szklanki, gdyż nie znalazł kieliszka, wziął też z kredensu sflaczały ogórek i postawił zakaskę na nocnym stoliku, obok łóżka.

— Szułym Alejkum... Pij — zapraszał Lewik Dalekiego.

Daleki wzdrignął się. Zapach wódki odrzącał go. Wziął jednak i, przewyciężając obrzydzenie, wypił. Wódka wróciła mu do gardła. Omal nie dostał torsji, zagryzł więc szybko ogórkiem. Lewik dopił resztę zawartości, przymykając w rozkoszy oczy.

— Mama, nie wódzia — chrząkał zaplajaczonym głosem.

Do powtórnego wypicia nie dał się już Daleki na-

mówić. Lewik pił więc sam bez przerwy, trapiąc teraz — na odmianę — o swoich sukcesach strzeleckich.

Wtem weszła do pokoju pani Helena. Patrząc na jej zgrabną, młodą postać, świeżą i ładną twarz, Daleki zawsze się dziwił, jak to się dzieje, że żyje ona z Lewikiem, fizycznie odstręczającym opojem i erotomanem. Swoją drogą, Lewik posiadał wszelkie właściwości szczerzego i dobrego człowieka i odznaczał się humorem oryginalnym, choć wybitnie rubasznym. Pomimo birbanich wyczynów, wprawdzie niewidocznie, ale na swój sposób prawdziwie kochał Helenę.

— Jeszcze ci mało? — wskazując na wódkę, ofuknęła Lewika Helena. Równocześnie wylewnie witała Dalekiego.

— Dla Stefcia truciźnym wypił. Lusienka, aniołku, daj coś przegryźć lepiej, pocałuję cię za to, ciuponeńko moja — skomlał Lewik.

— Fu! obrzydliwy pijaczyna!

Twaz Heleny sfalował wyraz nieukrywanoego wstrętu.

— Co? — udawał oburzenie Lewik. — Napędzę cię na sto wiatrów!

Za chwilę jednak znów przymilał się.

— Jednego grzybka, kotusiu, rydzika. Wiesz, że Stefcio to lubi.

Daleki wstał, chcąc pożegnać się. Lewik, nie kępując się, wyskoczył z łóżka, posadził go siłą spowrotem na krzesło i, udając girlse, zaczął wyginać się i podrygiwać.

— Dobrze, już dobrze, zostanę, tylko włącz do łóżka, świnio jedna — rzekł zrezygnowany Daleki.

— Tak, tak, zostań, Stefcu — prosiła i Helena.

(D. c. n.).

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 666.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 666.62 (dział polityczny i ekonomiczny); 666.69 (dział miejski i liter.-art.); 666.59 (miejscowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11—12. ADMINISTRACJA: Warszawa, 7goda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691.64. Prenumerata 691.66. Wydział ogłoszeń 691.56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny A B C Warszawa-Kon. P. K. O. Nr. 13550. PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136. PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Konto czekowe P. K. O. Nr. 13550.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej spłaty (na wszystkich stronach po 6 spłat): na 1-iej stronie — 1 zł. w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologi po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyraża; a tusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieszyński